Nr. 18. Przemyśl. Niedziela 1 Maja. Rok 1881.

Czasopismo **San** wychodzi w każdą niedzielę.

Przedpłata

zamiejscowa:		w miejscu:	
miesięcznie	50 ct.	miesięcznie	40 ct.
kwartalnie	1 złr. 35 „	kwartalnie	1 złr. 20 „
półrocznie	2 „ 70 „	półrocznie	2 „ 40 „
rocznie	5 „ 40 „	rocznie	4 „ 80 „

Numer pojedynczy 10 ct.

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.

SAN

Cena ogłoszeń:
5 centów od miejsca jednego wiersza drobnym drukiem.

Przedpłatę miejscową zamiejscową i ogłoszenia
przyjmuje:
Redakcya, naprzeciw Starostwa w Przemyślu

Rękopisma nie zwracają się.

czasopismo społeczno-ekonomiczne.

Nareszcie!

Stare przysłowie powiada, iż każde złe ostatecznie skończyć się musi, a zastosować je można najlepiej do naszej rady gminnej. Trzy lata czekali mieszkańcy naszego miasta na tę chwilę, w jakiej możnaby napisać nekrolog naszej przez sześć lat urzędującej radzie, która jakby posiadając eliksir życia, nie myślała wcale o śmierci. Skończyły się nareszcie jej rządy, a skończyły tak smutno, jak smutnej pamięci był jej żywot. Ostatnim swym krokiem udowodniła ona, iż nigdy nie pojmowała seryo obowiązków na się przyjętych, iż nie liczyła się z niczem, jak tylko z popularnością dla której poświęcała najżywotniejsze interesa gminy, nie bacząc, co potem nastąpi. A p r è s m o i l e d e l u g e, było godłem, pod jakiem działała i to stwierdziła na ostatniem posiedzeniu.

Od trzech lat walczyło pismo nasze, chcąc początkowo w łagodny i objektywny sposób, następnie przez ostre karcenie i bezwzględność przywołać ją do opamiętania, lecz niestety napróżno. Zamiast zwrócenia na dobrą drogę, zamiast obudzenia, że się tak wyrazimy ambicyi, spotkaliśmy zaciekłość, lekceważenie obowiązków, niedbalstwo o dobro publiczne. Większość ustępującej rady szła, jeżeli można drobne sprawy gminne porównać z wypadkami dziejowemi, tą drogą, jaką idzie carstwo moskiewskie. Nie ustąpić najsłuszniejszym wymaganiom, drwić z opinii publicznej i stawiać przyszłość na kartę, było niejako ideą przewodnią.

Rezultatem tej działalności: niedobór, co grozi, iż nas w przyszłości długo paraliżować będzie, zniechęcenie wszystkich do zajmowania się sprawami gminnemi, demoralizacya i anarchia. Tak jest, nie wahamy się powiedzieć tego, bo to, co mówimy, wyznała publicznie rada gminna. Brak inwentarza majątku, niewiadomość, o ile własność gminy doznała szkody, nadużycia, z jakiemi trzeba się odnosić do interwencyi sądu, bezład i bezwładność policyi gminnej, rozstrój ogólny — to wieniec szczególnego rodzaju nieśmiertelników i wawrzynu, jaki sobie dawna rada, a zwłaszcza zwierzchność miejska uwiła.

Nowej radzie przekazuje niejako testamentem ustępująca niedołężna matka, naprawienie złego, do czego sama nie miała ochoty, a przekazuje tem chętniej, iż nie cierpi tego dziecka które podrzutkiem być mieni, a może i życzy sobie jego kompromitacyi. A jednak jest to jej własne dziecię; dawna rada mogła tylko takie spłodzić niemowlę. Bez silna ta i poroniona istota w pierwszych już dniach swego życia, będzie miała znieść cały ciężar spuścizny, walczyć z niedoborem, usuwać złe głęboko zakorzenione. Nie chcemy prorokować, lecz nie możemy nie przewidywać z góry, iż to zadanie przejdzie jej siły, iż musi przyjść do ostateczności. Ci zaś, którzy byli Mefistofelesami starej rady, zacierać będą ręce radośnie i licząc na krótką pamięć ludzką, umywać je jak Piłat, pokazując, iż nowa rada sprowadza wszystkie plagi egipskie na gminę. „Za naszych czasów nie było dodatku gminnego“ będą mówić, a nawet słusznie; wszak stara rada rozeszła się, odrzuciwszy ten niepopularny wniosek. Z takiemi i podobnemi zdaniami będzie zmuszoną liczyć się nowa reprezentancya, a czy znajdzie **dość siły**, by nie uląknąć się niepopularności, by pójść nowemi drogami, — przyszłość pokaże.

Jeżeli nowowybrani radni nie będą mieli dość odwagi, by stawić czoło tym zdaniom i napaściom, jakie ich czekają, nie pozbędziemy się posiewu dawnej rady, jak zaniedbana rola mimo wszelkiej usilności i pracy nie rychło pozbywa się perzu.

Smutny to horoskop, ale oparty na długoletniem doświadczeniu, na obserwacyi tych, że je tak nazwiemy, zgniłych stosunków, a zgnilizna nic zdrowego zrodzić nie może.

Pragniemy, by naszym zapatrywaniom przyszłość zaprzeczyła i zrobiła nas pessymistami, a to pragnienie wyrażamy, życząc nowej radzie zerwania z dawną tradycyą.

KORESPONDENCYE.

Lwów 28 kwietnia. Kolej Łupkowska była pierwszą w kraju, co zaprowadziła druki przeznaczone dla użytku publiczności w języku polskim, koresponduje ze stronami w tym języku, w jakim one do niej piszą i nie tylko nie okazuje żadnych dążności do germanizowania, lecz przeciwnie liczy się ze słusznemi wymaganiami kraju i prawami narodowości polskiej. Najlepszym tego dowodem jest ta okoliczność, iż na linii kolei tej i przez nią zarządzanej kolei Dniestrzańskiej jest urzędników Niemców tylko 4, z których jeden nauczył się zupełnie polskiego języka, drugi pełni podrzędne funkcye urzędnika rachunkowego, dwóch zaś jest przyjętych w spuściźnie po zarządzie kolei Dniestrzańskiej. Tego stosunku nie wykaże żadna kolej w Galicyi, nie tylko kolej Czerniowiecka, lecz ani Albrechta ani K. Ludwika. Między naczelnikami oddziałów zarządu ruchu, na czele którego stoi Polak p. Błażowski, nie ma ani jednego Niemca. W centralnym zarządzie w Wiedniu jest wprawdzie bardzo mało Polaków i wszystkie wyższe posady tamże, piastują Niemcy, lecz to samo ma miejsce przy wszystkich naszych kolejach. Nie mogę też zaprzeczyć, iż pod tym względem mogłoby być lepiej, lecz nie jest gorzej niż gdzie indziej. Sam naczelny dyrektor p. Pichler nie żywiąc bynajmniej uprzedzeń, ani zawiści do żywiołu polskiego, wpływem swoim spowodował, iż tak samo zapatrują się jego podwładne organa, ztąd też nie ma żadnej pressyi germanizacyjnej, ani ucisku narodowości polskiej. Rzeczony dyrektor, poczuwając się do moralnego obowiązku, jako naczelnik instytucyi w polskim kraju istniejącej, popierania żywotnych spraw tegoż, starał się, gdzie tylko możebnem było, o podniesienie szkół ludowych, a co ważniejsze jeszcze o podniesienie naszego przemysłu krajowego. Wszak o ile wiem pobiera szkoła ludowa w Zagórzu od kilku już lat stałą zapomogę od kolei, bez której nie mogłaby istnieć. Własnym kosztem urządziła i utrzymuje kolej dwie szkoły koszykarstwa a to w Zagórzu i Sączu. Nietylko, iż zaopatruje ona te szkoły we wszystkie potrzeby i płaci nauczyciela, lecz udziela zapomogi tym ze swej służby, którzy życzą sobie utrzymywać w Zagórzu i Sączu swe dzieci w szkole koszykarskiej, a mieszkają sami zdala od tych miejscowości

W ten sam sposób popiera ta kolej szkołę snycerstwa w jednej ze swych stacyi na Węgrzech, w Homonnie, i utworzyła cztery stypendya dla dzieci służby, które chcą tamże pobierać naukę.

Chcąc zapoznać inne prowincye monarchii z przemysłem polskim, utworzył p. Pichler kompletne zbiory wszelkich produktów nafty galicyjskiej i wyrobów z niej i przedstawiwszy je naprzód na wystawach przemysłowych, darował do takichże muzeów w Wiedniu. Peszcie i Koszycach, wydawszy przytem jako objaśnienie broszurkę o tej gałęzi przemysłu galicyjskiego.

Już same te fakta wystarczyłyby do obrony zarządu kolei Łupkowskiej przed zarzutem nieprzyjania krajowi i krajowcom, a znane są one już z poprzednich doniesień naszych dzienników.

Polityka popierania handlu krajowego najlepiej odbija się w taryfach tej kolei, a one dają najlepszy obraz zachowania się kolei. Im to przypisać należy, że handel drzewny, solą, naftą pomimo tak nieprzyjaznych stosunków i wysokiego oclenia tych produktów nie tylko nie upadł, lecz utrzymuje się i powoli ożywiać zaczyna. Wogóle, gdzie

---

Konkury z anonsu.

ŻART PRAWDZIWY.

Kraków w roku 185 . . . całkiem odmienną miał jeszcze postać od dzisiejszej. Te dzisiaj tak urocze plantacye, w języku specyalnym krakowskim „plantami“ zwane, nie miały tych ślicznych grządek — przepraszam chciałem powiedzieć klombów kwiatów; w miejscu gdzie dziś stoi pomnik Straszewskiego, była głęboka okrągła kotlina „kołem“ zwana, a wśród niej wznosił się kopczyk, w którym stał słup, noszący na szczycie herb miasta. Pod tym to słupem grywała ongi orkiestra wojskowej milicyi, ku uciesze publiczności, dawnej stolicy Rzeczypospolitej polskiej, co powoli stała się stolicą miniaturowej rzeczypospolitej krakowskiej, potem wolnem miastem, jeszcze później miastem gubernialnem, a nareszcie zwykłem miastem prowincyonalnem. W miarę jednak, jak traciła ona swój wielkoświatowy charakter, nabierała wielkoświatowych manier i pretensyj, gubiła swe dawne cechy i typy. Nie tak długi szereg lat dzieli nas od owych czasów, a gdzież one znikły, te dawne typy krakowskie i to znikły już na wieki. Dzisiejsi ludzie, choć chlubią się swą „indywidualnością,“ lecz tak jakoś wszyscy wyglądają szablonowo, tak niby się różnią od siebie, a wszyscy są jednacy, że trudno między nimi znaleść nawet jakiego „oryginała,“ któryby zwrócił na się uwagę.

W owych czasach Kraków posiadał mnóstwo ludzi nazywanych oryginałami, a choć to były przeważnie zacne i szanowne osoby, to jednak zbyt były one ponętną karmą dla młodych pustaków, by im kiedy dano pokój. Wyrządzano im tysiączne psoty, za które oni srogo się gniewali i poprzysięgali zemstę, — póki nie schwytali lub odkryli psotnika. Lecz skoro on im wpadł w ręce, te im, jak to mówią, opadały i kończyło się na ostrem („oremus“ lub „pater noster.“

Do takich poczciwych oryginałów należał nasz bohater pan Salezy. Był to sobie stateczny kawaler, a stateczności jego najlepszym dowodem była ta okoliczność, iż mieszkał w domu pana N. w rynku obok kamienicy pod Matką Boską. Może sądzicie Państwo, że pan N. to był taki purytanin, ktoremu o nic nie chodziło, jak o to, by jego lokatorowie byli ludźmi nieskazitelnej moralności? Ale broń Boże; tak mało chodziło mu o zbawienie ich dusz, jak mnie chodzi o to, by cesarz chiński był zadowolnionym ze swych mandarynów, lub oni z niego. Pan N. byłto sobie po prostu człowiek oszczędny, wyrachowany kapitalista i wszystko oceniał według kwoty, jaką może przynieść lub kosztować. Miał on kamienicę trzechpiętrową, lecz tylko o dwu oknach, w której skutkiem tej wadliwej konstytucyi suchotniczej nie było nawet sieni wchodowej, a jedyny wchód istniał przez sklep właściciela, mieszczący się na dole. Była to w każdym razie wada organiczna, lecz nasz gospodarz umiał ją wyzyskać na swą korzyść. Tam, gdzie nie ma bramy wchodowej — nie ma potrzeby utrzymywać stróża do jej otwierania, trudno bowiem nawet obcego człowieka wpuszczać do sklepu. Nasz nowy Harpago był zatem u siebie stróżem, a choć nie owym szczekającym w budzie, lecz otwierającym w danym razie bramę. Że zaś niżej położone piętra płacą się drożej, niż tam gdzie pod jaskółką, więc sam zamieszkał najwyżej, coś prawie w połowie wysokości wieży maryackiej. Nie dziw zatem, że wynajmując mieszkania w swej kamienicy, wywiadywał się przedtem, czy wynajmujący jest człowiekiem statecznym, a pod tem rozumiał w pierwszym rzędzie wczesne przychodzenie do domu i niewłóczenie się po nocach, które Pan Bóg na to zrobił, by ludzie spali, i nieprzyjmowanie żadnych wieczornych wizyt. Te właściwości nie uszły uwagi psotników krakowskich, którzy pod różnemi pozorami dobijali się do kamieniczki, by starego sknerę z łóżka wyciągnąć i zmusić do otwarcia bramy, ba! wiązano nawet tłuste kości do rączki od dzwonka, by zwabić psy włóczące się po nocach, a te ciągnęły bez miłosierdzia za dzwonek, by urwać smaczny kąsek, a uciekały zestraszone łoskotem otwieranych drzwi od sklepu.

Lecz to nie należy do rzeczy . . . . dość na tem, że wynajęcie mieszkania u pana N. stanowiło niejako patent na człowieka statecznego.

Pan Salezy był też nim w istocie, a nawet było to naturalnem następstwem wieku, urzędu i temperamentu. Wprawdzie starym on jeszcze nie był, lecz dochodził do tych lat, w których według ludowego przysłowia, człowieka już chyba i diabeł nie wyswata. Urząd nadawał mu też powagi, bo był kancelistą przy trybunale, a temperament był jak to mówią: słodko — kunktatorski Wprawdzie możnaby raczej odwrócić i powiedzieć kunktatorsko — słodki, bo zanim się rozgniewał, lub, co zwykle nastawało, udobruchał, to już można było zapomnieć o wszystkiem, co zaszło.

Kunktatorstwo pana Salezego było niejako przysłowiowe. Niejednokrotnie już zamierzył się zakochać w jakiej pannie, lecz nim się zdecydował dać folgę swym uczuciom i wybrał się do rodziców z oświadczynami, poproszono go tymczasem na wesele córki — ba! raz nawet na chrzciny wnuka, a on dopiero wtedy do-

tylko okaże się potrzeba popierania dowozu lub wywozu jakiegoś artykułu, kolej ta nie wacha się ani chwili zniżyć odpowiednio taryfę i poprzeć w ten sposób wymagania klas handlujących lub produkujących,

Nie przeczę, iż nie w jednym kierunku możnaby jeszcze dalej pójść, iż może gdyby miano przy dyrekcyi w Wiedniu ludzi, co znają dokładnie nasze stosunki, niejeden przedmiot kupionoby w kraju zamiast w Wiedniu, lecz stwierdzam tylko, iż więcej jest tu do pochwalenia niż naganienia.

Może ktoś zarzucić, iż kolej, o którą w dwóch listach już kopią krusze, zniżając taryfy itp, działa w swoim interesie. Naturalnie — że tak, ale to jest właśnie uznania godnem, że swoją korzyść umie ona połączyć z korzyścią dla kraju, nie upatrując w pierwszej alfy i omegi swych dążeń, i że nie działa tak szkodliwie dla handlu naszego, jak jej sąsiadka, kolej K. Ludwika.

W najbliższym liście o tej ostatniej pomówimy

Sprawy miejskie.

Posiedzenie rady miejskiej z dnia 28-go kwietnia. Przewodniczący Dr. M. Kozłowski, komisarz rządowy p. Marynowski, radnych obecnych 28.

Po przyjęciu protokołu z ostatniego posiedzenia zapytuje r. M. Gans przewodniczącego czy mu wiadomo, że policyjny stójkowy wybiera co Piątek od kowali, którzy kują buty chłopom po 20 ct, a w razie jeżeli się który opiera, to go grabią Interpellant wie, że istnieje kopytkowe, które opłacać muszą przyjezdni, ale nie wie nic o przepisie, aby od ludzi pobierano haracz za podkuwanie butów. Zapytywał on wprawdzie assesora p. Kreyczego, ale ten mu powiedział, że nic o tem nie wie, p. Błażowski zaś twierdził, że pobierają, lecz po 10 centów, co jest nie prawdą, gdyż udowodni świadkami, że po 20 ct. Uprasza przeto o wyjaśnienie z czyjego polecenia się to dzieje i na jaki fundusz magistrat wspomnianą kwotę obraca.

Przewodniczący oświadcza, że polecenia podobnego nie wydawał, więc odpowiedź może dopiero dać po zbadaniu tej sprawy, a to na najbliższem posiedzeniu.

Po objęciu przewodnictwa przez najstarszego wiekiem p. Jelenia, przedstawia Radzie imieniem sekcyi 4-tej p. Kozłowski wezwanie c. k. komendy wojskowej do wybudowania koszar na pomieszczenie 2 szwadronów kawaleryi. Ponieważ miasto we własnym zarządzie tej budowy nie może prowadzić, a zgłosili się oferenci p. Kohn i Schiffer, przeto stawia wniosek, by rozpocząć rokowania ze wspomnianymi oferentami, oraz z p. Engelhardtem, u którego obecnie szkoła jazdy dla 50-ciu istnieje. Miasto zawarło bowiem z Engelhardtem kontrakt najmu na lat 6 za czynszem rocznym 1885 zł, obecnie zaś komenda wojskowa zawiadamia, że szkołę tę z końcem kwietnia zwija i ubikacyj tych więcej nie potrzebuje.

Dr. Mochnacki sprzeciwia się temu wnioskowi, a z uwagi, że komenda wojskowa ubikacye Engelhardta wymówiła, a przez to samo miasto jest na wielką stratę narażone, stawia wniosek przejścia do porządku dziennego nad wnioskiem p. zastępcy naczelnika gminy. Zarazem żąda uchwały by udać się do ministeryum wojny i spraw wewnętrznych, wykazać im w jaki sposób sobie władze wojskowe postępują, przytoczyć wypadek z Engelhardtem, oraz przytoczyć, że gmina ponosi rocznie 12.699 zł. wydatków na wojsko. Równocześnie zaś poczynienia kroków do Wydziału krajowego aby fundusz, a względnie majątek miasta wziął w opiekę.

Po przemówieniu jeszcze Dra Dworskiego i p. Frankowskiego, który to ostatni żąda by wejść w rokowania z oferentami, rada uchwala w całości wniosek Dra Mochnackiego.

Z porządku dziennego przystąpiono do wyboru jednego członka do Rady powiatowej. Na 28 głosujących otrzymał p. Frankowski głosów 20, Dr. Baumfeld 6, Dr. Mochnacki 1. jedna kartka próżna; a zatem wybrany p. Frankowski.

Następnie przystąpiono do dyskussyi nad wnioskiem sekcyi 2-giej, który to wniosek w N-rze 16 naszego czasopisma w całości podaliśmy.

Dotyczy on pokrycia niedoboru dodatków do podatku w wysokości 20%. W sprawie tej zabierali głos pp. Dr. Dworski i Dr. Mochnacki, za wnioskami sekcyi, natomiast pp. Frankowski i Dr. Rosenbach przeciw wnioskowi rady, a jeden z radnych p. Guziczewski ani za, ani przeciw i możnaby ręczyć, iż on sam nie wie, o czem mówił Żałujemy bardzo, że dla braku miejsca nie możemy podać w cał ści przemówień w tej sprawie, tak żywo obchodzącej nasze miasto, a mianowicie przemówienia Dra Mochnackiego, który z właściwą sobie werwą, wyświecał gospodarkę miejską, gospodarkę bez inwentarza majątku gminnego. Kiedy mówca wspomniał o gruntach miejskich samowolnie zabranych, pp. radni Łukasiewicz i Naftal Dawid podjęli krzyk, że od rzeczy mówi, kiedy zwrócił uwagę że istnieją kamienice bez wychodków, pp. Schutz i Schwarz nawoływali do rzeczy. Że też nożyce zawsze brzęczą, kiedy się w stół uderzy Wzmianka w przemówieniu Dra Mochnackiego, że my wkrótce na ziemi własnej, którą przodkowie krwią swoją bronili od napadu Turków i Tatarów, może pójdziemy w komorne do przybyszów, wywołała odpowiedź Dra Rosenbacha, że z tego przemówienia nie wie kogo pan Dr. Mochnacki zalicza do przybyszów, a kogo do autochtonów.

Jednem słowem były to epizody nie tylko ciekawe, a nieraz komiczne, lecz nawet pouczające, a przynajmniej dające powód do myślenia.

Po przemówieniu Dra Dworskiego, który z góry oświadczył iż ma przekonanie, że wniosek o płacenie dodatku do podatku nie utrzyma się, Rada uchwaliła wszystkie wnioski sekcyi z wyjątkiem ostatniego. Po skończeniu posiedzenia rozeszła się rada, która nareszcie żywot swój zakończyła w spokoju, jedni by się przygotować do nowych zapasów, inni zaś by odetchnąć po trudach i spocząć na laurach (ad honores.)

Interpelacyi p. M. Gansa nie możemy zostawić bez komentarza. Dziwi nas bardzo, że Naczelnik miasta ani assesor policyi o czynnościach stójkowego, który pieniądze bierze nic nie wiedzą, dziwi nas tem mocniej, że sprawa ta dłożej się praktykuje. Jest tu widocznie ktoś, który szuka osobistej korzyści z krzywdą biednych, dlatego upraszamy o ściste śledztwo. zwracając uwagę, że w tej sprawie prawdopodobnie r. Łukasiewicz będzie mógł dać najlepsze objaśnienie.

Uzupełniające wybory do naszej rady gminnej zostały ostatecznie zatwierdzone i w najbliższym tygodniu ma najstarszy wiekiem radny p. Postel-Leopolski zwołać nową radę celem ukonstytuowania się.

KRONIKA.

— **Dzień zaślubin** J. C. Wys. Najdostojniejszego Cesarzewicza Rudolfa obchodzić będą wszystkie kraje monarchii w nader uroczysty sposób, dając tem poznać swe uczucia przywiązania do tronu i dynastyi. W naszem mieście dotąd cicho pod tym względem, a to już tylko 10 dni oddziela nas od tej chwili.

— **Pierwsze** posiedzenie nowej rady gminnej m. Przemyśla zwołane jest na 3 maja o godz. 6 wieczór. Na porządku dziennym wybór Zwierzchności gminnej na przeciąg lat trzech.

— **Trzeci** dzień już kaprysi nam wiosna, obdarzając zimnym deszczem i drobniutkim śniegiem. Jeżeli tak dalej potrwa, gotowiśmy zapomnieć, iż w Polsce kiedykolwiek była wiosna.

— **Wypadek kolejowy**. „Pan mnie obraziłeś śmiertelnie, żądam od pana satysfakcyi".

„Ani mi to w głowie".

„Żądałem już satysfakcyi od Pana, Pan mi jej nie dałeś, żądam jej jeszcze raz osobiście, pomiędzy nami tylko kula może rozstrzygnąć".

„Ja mam się z Panem strzelać, a toby było dobre!"

Tego rodzaju rozmowa toczyła się pomiędzy pp. Hertleinem byłym komandytystą i zarządcą tartaku w Olszanicy i Kroeberem, spólnikiem jawnym tegoż tartaku, przy stole w restauracyi kolejowej dnia 27. kwietnia wieczorem. K. jest to bogaty kapitalista z Monachium, gdzie posiada tartak parowy. H. jako młody człowiek był przez jakiś czas zarządcą tego tartaku, później na polecenie K. założył dlań tartak parowy w Olszanicy w Sanockiem. Oddziedziczywszy co nieco po swej matce i zaoszczędziwszy z swej płacy, H. przystąpił do tartaku z kilkunastu tysiącami zł. do przedsiębiorstwa jako spólnik komandytowy, a zarazem objął zarząd tartaku. Dziesięć lat pracował w ten sposób dla majętnego K., a później dla spółki, gdy jednak tartak nie wykazywał zysków. a nadto spólnicy poprzeczali się z sobą z tego głównie powodu, że H. ożenił się wbrew woli K., ostatni w grudniu z. r. wypowiedział mu spółkę, z 30. czerwca b r. Według kontraktu i ogólnego zwyczaju, do tego dnia powinien był H, pozostać w spółce i na swej posadzie, następnie powinni się byli spólnicy obliczyć, K. nie chciał jednak czekać tak długo. Spór cywilny również nie doprowadziłby dosyć szybko do celu, K. obrał więc drogę karną jako najodpowiedniejszą. Oskarżył swego zarządcę o oszustwo i wyrobił sobie w tut. Sądzie uchwałę, którą temuż zarząd tartaku odebrano i do rąk K. oddano. Przy oddaniu zaś delegat sądowy na podstawie doniesienia uwięził H., i gdy tenże przeciw temu stawiał opór, kazał go okuć i skutego odstawić do Przemyśla. W ciągu śledztwa K. czynił tak w Przemyślu jak i we Lwowie najusilniejsze zabiegi, by śledztwo przewlec i przeszkodzić wypuszczeniu uwięzionego na wolną nogę, to też cztery tygodnie przesiedział H. w więzieniu. Po przeprowadzeniu dochodzeń we wszelkich możliwych kierunkach, zbadaniu ksiąg handlowych, drastycznych konfrontacyach i t. d, c. k. Prokuratorya oświadczyła, że dla braku wszelkich podstaw, nie widzi powodu do dalszego ścigania. H. został wypuszczony. Wyrzucony z Olszanicy, gdzie całe jego mienie pozostało uwięzione w przedsiębiorstwie, oddanem teraz do rąk K., znalazł on się wraz z żoną bez utrzymania, bo K. odmówił mu wszelkiego prawa do jakiegokolwiek udziału. W kredycie i dobrem imieniu kupieckiem musiał szukać sposobu do życia, dopóki drogą procesu swego udziału nie wydobędzie. Lecz i o tem przezorny K. nie zapomniał. Zaraz po wdrożeniu śledztwa rozesłał okólnik, w którym zawiadamiając o zmianie zarządu tartaku, przedstawił byłego zarządcę w bardzo dwuznacznem świetle. H. udawał się do niego, by ten okólnik odwołał, K. odmówił, H. zażądał zadosyćuczynienia za doznaną obrazę, K. odmówił, H. zażądał satysfakcyi osobiście w miejscu publicznem, w restauracyi kolejowej, K znowu odmówił Tego było pierwszemu za dużo, nie zważał na to, że w restauracyi było wielu gości, a być może szukał tych świadków, — szpicrutą uderzył przeciwnika w twarz i powtórnie po ręce, którą się tenże zasłonił. Tego było flegmatycznemu K. za wiele; pomimo że jego towarzysz powstrzymywał go i starał się pojedynek sprowadzić na tory językowe, rzucił on się na przeciwnika, obaj chwycili się w pół i poczęli się szamotać . . . wśród gości stołów i lamp. Interwencya obecnych a przedewszystkiem znanego prywatnego „inspektora" kolejowego, który bijących się niespodzianie zainterpelował: „Sie . . . , wollen Sie sich raufen, dann geben Sie in ihre Heimat zurück, aber im fremden Land machen Sie keinen Skandal!", — zapobiegła dalszej bitce, zapaśnicy powrócili do swego piwa; usiadłszy przy sąsiednich stołach przez długi czas jeszcze patrzyli na siebie rozjuszonym wzrokiem i głośnym półgłosem wymieniali doborowe douceury.

— **Koncert Aleksandra Myszugi** odbył się we środę 27 kwietnia przy bardzo nielicznym udziale publiczności. Mimo to nie można mieszkańcom Przemyśla zarzucać braku zamiłowania do muzyki, bezpłatne wieczorki Towarzystwa muzycznego są zazwyczaj przepełnione, — ciężkie czasy, a tu i wydatki świąteczne, i miesiąc na schyłku, więc trudno sobie pozwalać. Pp. koncertanci powinni się z tem liczyć, jeżeli dają koncert w mieście, gdzie przeważnie część mieszkańców pobiera płace na pierwszego, powinni dawać koncert w pierwszej połowie miesiąca, bo inaczej niemogą liczyć nawet na średnie powodzenie. Tym razem publiczność mogła była zrobić wyjątek od praktycznej zresztą zasady oszczędności, bo warto było usłyszeć śliczny głos koncertanta, i godziło się dopomódz niezamożnemu rodakowi do zebrania funduszów do dalszego kształcenia się. Koncertant jedzie do Włoch, a na to skromne stypendyum udzielone mu przez Wydział krajowy nie starczy.

Jeżelibyśmy mieli ściśle krytykować wystąpienie p. M. być może że moglibyśmy a nawet musielibyśmy podnieść zarzuty przeciw jego szkole. Korzystamy jednak z tego, że krytyka nasza nie potrzebuje być zbyt wyczerpującą, a korzystamy tem chętniej, że jakość głosu wszystkie możliwe braki nadto pokryła. P. M w swym głosie posiada prawdziwy skarb, którego nie powinien zakopywać, który powinien rozwinąć i wyzyskać, dźwięczność, obszerna skala i siła, a przytem miły charakter i podajność głosu składa się na niezwykłą całość. Dziś już p. M. jest niepoślednim tenorzystą, a jeżeli popracuje sumiennie nad swym głosem, stanie w rzędzie lepszych śpiewaków Zasoby ma ku temu znakomite, pracy tylko, a będziemy się mogli nim poszczycić. Koncertant odśpiewał aryę z „Strasznego dworu" Moniuszki „Wiśnówkę" „Koh tak w odnoje słowo" Matiuka i pieśń pożegnalną, a nadto wraz z p. G. duet z oratoryum: „Cztery pory roku" Haydna i z opery „Marta" Flotowa, a każdy z tych występów był przyjęty licznemi oklaskami, na które koncertant rzetelnie sobie zasłużył. W duetach a właśnie w prześlicznym duecie Haydna dzieliła z nim tryumf p. G, która swoim zwyczajem swą partyę odśpiewała wzorowo. Wspomnieć wypada o dwóch pieśniach naszego kompozytora Matiuka, które odznaczają się rzewną śpiewnością przez wykonawcę znakomicie oddaną i zostały nader sympatycznie przyjęte. Dyrektor Dietz odegrał Drugą fantazyę węgierską K. Hubera, utwór nadzwyczajnie trudny, w którym autor silił się na nagromadzenie wszelkich możliwych trudności technicznych, a przytem połączył je wdzięcznie z śpiewnością wszystkich węgierskich melodyi, które służyły fantazyi za temat. Wykonawca wyszedł zwycięzko z trudnego zadania, jakie sobie obrał, obok wyrazistości w przeprowadzeniu śpiewu, trudności pokonywał z zdumiewającą precyzyą i łatwością.

---

wiedział się, że ta którą on zamyślił nazwać słodkiem żony mianem, już od roku nią była dla jego kolegi

Nie wiadomo, czy ten ostatni wypadek wstrząsnął jego jestestwem, czy może skłoniły go do tak rozpaczliwego kroku przypalone kotlety u Fochta, dość że postanowił ożenić się i to natychmiast. W tem przedsięwzięciu umacniał go jego przyjaciel Józef, dla którego nie miał nigdy żadnych tajemnic.

Pan Józef, był to trzpiotowaty młodzieniec przynajmniej o dziesięć lat młodszy od naszego bohatera, znany psotnik krakowski, co gotów był przesiedzieć cały dzień na dachu, by przez rynwę módz krzyknąć fryzyerowi Kozłowskiemu do ucha: Koziu, koziu mee! dla tego że on się tem irytował. Ta zaleta powinnaby była uczynić pana Salezego przezorniejszym w obejściu z przyjacielem, a przynajmniej w przyjmowaniu rad od niego. Lecz takie to już przeznaczenie, że kogo Pan Bóg chce ukarać, to mu rozum — chociażby chwilowo odbierze. Pan Salezy słuchał tedy ślepo rad swego młodszego mentora.

— Powiadam ci mój Kochany Lesiu, mówił dnia jednego Józef, powinieneś się ożenić, toż przecież szkodą byłoby, aby ród Kunktatorów wyginął.

— Ba! mój drogi, tak to łatwo powiedzieć ożeń się, lecz gdzież tu znaleść tak na poczekaniu pannę, któraby była dla mnie odpowiednią? A jeżeli mam się żenić, to chyba odrazu, bo jak to się przewlecze, to gotówbym stracić ochotę.

Pan Józef zaczął mu wyliczać szereg panien wzdychających do poddania swych główek pod ciężkie jarzmo małżeńskie. Żadna nie przypadała do gustu naszemu bohaterowi. Ta była za stara, ta znów za młoda, tamta za biedna, owa za bogata, ta zbyt wymowna, inna zbytnia trusia — przebierał jak to mówią w Krakowie, jak w uleżałych gruszkach.

— Nie, wiesz mój drogi, ze ciebie na zwykłej drodze nie zadowolni, trzeba nam szukać niezwykłej. Genialna myśl przychodzi mi do głowy! Gdybyś też tak zechciał — tu uśmiechnął się złośliwie pan Józef — spróbować tej „dotąd tak niezwykłej drogi" i podał anons do *Czasu*, że kawaler stateczny . . . tu naturalnie wypada wyliczyć swe zalety, zamilczając o wadach — poszukuje żony?

Skoczył jak oparzony pan Salezy i wypatrzył się na przyjaciela, czy zeń sobie nie drwi przypadkiem. Lecz ten wytrzymał atak, nie zmieniwszy bynajmniej wyrazu twarzy.

— Ty się dziwisz i zżymasz Lesiu, a ja ci powiadam, iż ty zrobisz u nas tym anonsem epokę. Patrz! w Niemczech i Francyi robią to oddawna, istnieją tam nawet umyślne biόra, bo też to cywilizowane narody. Z anonsów kojarzą się tam małżeństwa i to bardzo szczęśliwe, dlaczegóż my nie mielibyśmy tak robić? Ja, skoro będę chciał się żenić, tylko tą drogą próbować będę szczęścia.

Twarz Józefa była w tej chwili tak poważną, tak mówił z przekonaniem, że po niedługich namowach pan Salezy nakłonił się do projektu.

Na drugi dzień publiczność Krakowska czytała ze zdumieniem w *Czasie* iż młody człowiek, mający świetną przyszłość przed sobą, ślicznych przymiotów, lecz nieśmiały wobec kobiet, poszukuje żony. Zdziwienie jednak wzmogło się jeszcze, gdy następnego dnia przyniosła taż sama gazeta odpowiedź, że kawaler znajdzie godny przedmiot swych afektów w domu pod tą, a tą liczbą za rogatką Mogilską. (D. n.)

— **Dodatkowo** do zamieszczonego w przeszłym numerze doniesienia o przytrzymaniu słynnej złodziejki Lwowskiej Zlatty Orner w naszem mieście, nadmieniamy, że dalszym poszukiwaniom policyi i sędziego śledczego udało się wykryć cały szereg zacnych obywateli, którzy od Zlatty Orner skradzione rzeczy stale zakupywali. Oczywiście żaden z tych szanownych przemysłowców ani się domyślał, że to rzeczy podejrzane, jakkolwiek pomiędzy niemi znajdowały się kielichy kościelne itp. Pomiędzy powyższymi wyszczególniają się Leib Gans, szynkarz, i Abuś Stal, krawiec, do których Ornerowa prawie co miesiąc przyjeżdżała i u nich skradzione rzeczy sprzedawała, tudzież Samuel Klug, który przy takich sprzedażach faktororował. Wszyscy trzej zostali przyaresztowani. Jakikolwiek jednak sprawa weźmie obrót, sądzimy, że policya powinna tym panom na przyszłość udzielić szczególnej opieki, bo przestając nieustannie z złodziejami są oni narażeni na ciągłe niebezpieczeństwo, a tego społeczeństwo cierpieć nie może. Wszystkie dotąd wykryte kradzieże, pomiędzy któremi kilka odznacza się niezwykłą śmiałością, popełniono we Lwowie, dla tego też Sąd tutejszy postanowił sprawę wraz z uwięzionymi i kilkoma kuframi rzeczy zabranych odstąpić c. k. Sądowi kraj. we Lwowie.

— **Bohater z pod Gdowa**, słynny później wódz z pod „zamglonego" Nachodu, jen. Benedek zmarł przed trzema dniami w Gradcu styryjskim. *De mortuis nil nisi bene*, lecz to nie odnosi się do ludzi publicznych i wodzów, dlatego też nekrologi nie mogą brzmieć pochwalnie.

— **Od niepamiętnych** czasów starają się ludzie jakby w racyonalny sposób zbadać pogodę, bądź to badają długoletnie spostrzeżenia meteorologiczne, bądź zachowywanie się roślin i zwierząt wrażliwych na wpływy atmosfery. W tym ostatnim względzie nadesłał nam przyjaciel naszego pisma i zamiłowany przyrodnik ks. Franciszek Żaba następujące spostrzeżenia, jakie sam zrobił: Orzech laskowy (corylus avellana) należy według przestarzałego już systemu Lineusza do 21-szej klasy, i ma kwiat podzielony według płci, lecz na tem samem drzewku. Kwiat męzki zawarty jest w pylnikach, to jest w podługowatych wałeczkach, kwiatem żeńskim zaś są ponsowe niteczki, ukryte w pączkach, zawierających przyszły owoc, które to niteczki w czasie kwitnienia orzecha z pączka wystają. Orzech laskowy kwitnie zwykle w Marcu, lecz czasem prędzej, czasem później, jak n. p. tego roku.

W moim ogrodzie rośnie orzech laskowy „cesarski z Trapezundu" będący tylko odmianą zwykłego orzecha laskowego, o większym okrągłym owocu. Tego roku jest na nim nadzwyczaj wielka ilość niteczek kwiatowych, bo prawie na każdym pączku, jak też samo pylników, które wszystkie są roztwarte. Za lada poruszeniem gałązki sypie się z nich proszek, a drzewko wygląda od tych pylników całe żółte, (nota bene ja co rok daje pod mój orzech trochę proszku wapiennego, popiołu i pudrety). Od kilku lat obserwowałem ten orzech. W roku 1876 zauważałem w marcu, że pylniki na nim się nie roztwierają zupełnie, ani też niteczek wcale nie widziałem; sądziłem, że to później nastąpi. Przyszedł nareszcie i kwiecień, lecz pylniki były twarde, potem zaczęły czernieć, zeschły nieroztwarte na drzewku i w ostatku z końcem kwietnia opadły. Tego samego roku był 19. maja mróz na 5°R., żyto w kwiecie wymarzło i nie mieliśmy żadnych owoców na drzewach. Tak samo było zeszłego roku, że pylniki, których było wielkie mnóstwo, także się nie kurzyły, a tylko jakiś tam setny, troszeczkę się roztworzył, inne były twarde, zczerniały, zeschły na drzewie i dopiero z końcem kwietnia opadły, a także nie było żyta ani owoców. Wnioskując z obserwacyj tego orzecha z lat dawniejszych, to w tym roku powinny się udać żyta i owoce na drzewach, gdyż mój orzech tak rozkosznie kwitnie, jak jeszcze nigdy.

Drugie spostrzeżenie zrobiłem z żabami. Jednego roku zauważałem, że żaby składały ikrę w rowach przy gościńcu, w których nigdy wody nie było; pomyślałem sobie, dla czegóż one w tym rowie ikrę kładą, kiedy ztąd woda zbiegnie i one będą zawiedzione, lecz gdzież tam. Całą wiosnę trwała słota, i w tym rowie, do którego umyślnie dla przekonania się chodziłem, przez całą wiosnę była woda.

Znów inne spostrzeżenie zrobiłem co do mrówek. Już niepamiętam roku, kiedy to było, kopałem dół na 3 łokcie głęboki, dla przechowania kwiatków i dopiero w tej głębokości znalazłem gniazda mrówcze. Zima owego roku była bardzo ostra, a ziemia bardzo głęboko zamarznięta. W owym roku pokazywała się na niebie często zorza północna i różne cudownie piękne światła. W roku 1878 jesienią zakopały się mrówki na leże zimowe tylko na 1½ cala głęboko i mieliśmy bardzo łagodną zimę. Roku 1879 jesienią zdarzyło mi się widzieć gniazda mrówcze prawie pod wierzchem i to na górkach, jak n. p. kretowinach, u mnie było kilka takich gniazd pod płotem, a ziemi nie było na nich ani pół cala, z tego sądziłem, że będzie bardzo łagodna zima, tymczasem, była bardzo długą, błota, śniegu bardzo wiele, a ziemia pod śniegiem nie zamarznięta, dla tego też to mrówki zimy się nie bały, gdyż ich śnieg przykrył, a robiły gniazda na górkach, by ich woda nie zalała. U mnie cały płot, pod którym mrówki gniazda prawie pod samym wierzchem na zimę robiły, był cały zasypany śniegiem, tak dalece, że zające mogły wygodnie przez wierzch płotu do ogrodu chodzić i wszystkie drzewka mi zgryzły. Z takich obserwacyj możnaby czasem wnioskować o wiośnie i zimie, bo czego człowiek odgadnąć nie może, odgadną to nieraz zwierzątka. Zeszłej jesieni nie spotkałem nigdzie mrówek pod wierzchem.

Radochońce d. 10. kwietnia.

Przemysł i handel.

(Dokończenie).

Z tych względów nie udają się drzewa owocowe, na gruncie torfiastym, gdyż tutaj jest brak wapna. Chcąc mieć na gruncie piaskowym piękne drzewa owocowe, trzeba koniecznie zasilać ziemię miałem wapiennym i popiołem. Będąc jeszcze studentem zrobiłem bezwiednie taką próbę z jabłonią, która rosła w gruncie piaskowym, lecz bardzo rzadko rodziła owoce. Przekopałem na 3 łokcie od pnia, pas ziemi szerokości jednego łokcia, a w drugie wakacye, widziałem całe drzewo, jak oblepione jabłkami. Byłbym więc zdania, że jeżeli kto hoduje drzewa owocowe dla korzyści, wydaje pieniądze na robotnika i wapno, by niem niepotrzebnie drzewa smarować, to lepiej ich użyje, jeżeli robotnik wapno ze ziemią w obrębie drzewka przekopie. Wapno zaś niekoniecznie winno być świeże, może być jakie bądź n. p. ze starych rozwalonych murów, opadłe przy tynkowaniu, różne wapienne gruzy, a osobliwie dobre są odpadki, które wyrzucają przy wapniarniach, którego to materyału leżą sterty przy cegielniach, w których się i wapno wypala jak n. p. w Przemyślu. Te sterty wapna i popiołu przy cegielniach niepotrzebnie leżące i zawadzające, są dla hodowców drzew owocowych cenne, a właściciele możeby je i bezinteresownie odstąpili, byle się tylko tych gruzów pozbyć.

Razu jednego widziałem drzewka śliwkowe stojące między różnego rodzaju gruzami, a owoców było na nich wielkie mnóstwo. Pytałem właściciela, czyli wszystkie śliwki tak obrodziły? odpowiedział mi, że tylko w tym ogródku zawsze obficie rodzą, gdyż tylko na tym kawałku jest dla śliwek dobra ziemia. Śliwkowe drzewka rodziły, bo miały dostateczny materyał na uformowanie się pestki. Są okolice, w których widziałem mnóstwo śliwiny, jak n. p. w Balicach, w Sierakowcach, na niektórych pagórkach pod Kalwaryą Pasławską, na Podgórzu ku Wzniesieniu w Przemyślu, tam z pewnością jest w ziemi wapno, gdyż inaczej tam ani śliwki ani orzechy włoskie istniećby nie mogły.

Z tytułu tkanek drzewnych, powinno być naszem zadaniem, abyśmy drzewka owocowe z nasienia drzew u nas już zaaklimatyzowanych produkowali, na co już Dr. Ciesielski w swym odczycie w Jarosławiu podczas wystawy, uwagę zwracał, gdyż nasze drzewa owocowe mają tkanki węższe, niżeli drzewa krajów południowych lub całkiem zachodnich, z tego względu są też i na mrozy wytrzymalsze. Najczęściej się też zdarza, że drzewka z Francyi a nawet i z Erfurtu sprowadzane u nas wymarzają. Jeżeli je zaś już sprowadzamy, to powinniśmy je sprowadzać tylko w zrazach dla uszlachetnienia naszych drzewek i to niskopiennych, lub w maleńkich egzemplarzach, by je powoli zaaklimatyzować, czyli by ich tkanki wystawione na nasz ostry klimat, powoli się rozrastały i zamiast soków wodnistych, soki mineralne sobie przywłaszczały, a w tym względzie ma wapno, popiół i sól mierzwicza (Dungsalz) składająca się z sodu i chloru wielką wartość w uprawie ziemi pod drzewa owocowe.

W naszym kraju, jak się to z zarządzonej przez Dra Ciesielskiego i p. Starostę Beneszka w roku 1879 wystawy ogrodowin w Jarosławiu okazało, mamy dosyć drzew szlachetnych, tak dalece, że moglibyśmy stanąć nawet na równi z krajami zachodnimi, tylko trzebaby ze szlachetnych gatunków, najszlachetniejsze wybrać i takowe hodować. Oczywiście trzebaby także wiedzieć i o miejscu, zkądby takowych pod prawdziwemi nazwami, nabyć można, a hodownicy drzew owocowych lepiej uczynią, jeżeli szlachetne drzewka lub zrazy o pewnych doborowych gatunkach w kraju nabędą, niżeli, żeby takowe z zagranicy sprowadzali, gdyż tam są one za drogie, ich sprowadzanie wiele kosztuje. Lecz nad to więcej ujemną tych obcych szczepów jest to, że jak wspomniałem tam drzewka wypielęgnowane, są bujnego wzrostu o rozszerzonych tkankach, jako przeznaczone dla lepszego zbytu, a takowe najczęściej wyginą, jak tego miałem przykład na moich drzewkach z zagranicy sprowadzonych. Płaciłem nieraz jednoroczne drzewka z nowszych gatunków jak n p. gruszkę Professora Hortolesa, marszałek Vaillant, Badaskoner Riesenkirsche, z przesyłką po 4 zł, a wszystkie zaraz pierwszej zimy zginęły, i zostały z nich tylko małe pieńki, okryte śniegiem. Nie mówię tego do ogrodników i lubowników rzadkich gatunków, niechaj ci robią doświadczenia, lecz przestrzegam tylko tych, coby chcieli mieć drzewka owocowe dla większego pożytku, a bywają w nadziei częstokroć zawiedzeni.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć to i o ogrodzie przy Seminaryum o. ł. w Przemyślu, do którego Przewielebny ksiądz Prałat Marcin Skwierczyński już od roku 1851 drzewka i zrazy w najszlachetniejszych gatunkach z różnych miejsc Europy sprowadzał i do dzisiaj sprowadza. Widziałem tam wspaniałe okazy owoców o najwyborniejszym smaku, a dziwna rzecz, że drzewka w tym ogrodzie niewymarzają, wyjąwszy tam jakiegoś, nie nieznaczącego uszkodzenia. Po 30 latach spotkałem się znowu z drzewami już wyrosłemi i zupełnie zdrowemi, które sam szczepiłem, a i to wspomnę, że ja byłem pierwszym ogrodnikiem, któremu zarząd ogrodu, dzisiejszy ks. Prałat, ówczas jeszcze jako Wice-Rektor, powierzył. Jak każda lepsza rzecz ma początek trudny, tak i ten ogród. Z początku gniewali się na mnie koledzy, że niepotrzebne dziki wykopuję, a nawet robili mi psoty. Razu jednego np. posadziliśmy obydwa z księdzem Wicerektorem, drzewko koło drogi, na drugi dzień stało drzewko korzeniami do góry, a korona drzewka była obsypana ziemią. Powiedziałem to księdzu Wicerektorowi, na co mi odrzekł ów wytrawny pedagog, w ten czas jeszcze mi niezrozumiałe słowa: „tak, tak, są to jeszcze dzieci, które nie umieją cenić ani pracy, ani wartości nauki, zostawmy to czasowi." Sądziłem, że się będzie gniewać, tym czasem skończyło się to tak łagodnie: owoce z drzewek, pomimo że nie było szlachetnych gatunków, obrywał kto chciał, a osobliwie posługacze seminaryalni uważali je jako swoją własność. Dzisiaj tam nikt nietknąłby jednej gruszki lub jabłka, a jeżeli jaki owoc spadnie, osobliwie z nowszych gatunków, lub drzewka, które pierwszy raz zrodziło, zaraz go odniosą księdzu Rektorowi z oznaczeniem gatunku i miejsca, w którem drzewko stało, albowiem wszystkie drzewka, ile ich jest, mają swoje kartki, a drzewek większych i mniejszych jest kilka tysięcy, chociaż to ogród niewielki, bo może 4 morgi obejmujący, a szkółek owocowych tyle, ile jest kleryków. Prawie każdy bowiem ma swoją małą szkółkę z oznaczonymi gatunkami, jest to formalny las drzew owocowych. Owoce zbierają sami klerycy i oddają wszystko ks. Rektorowi, który je każe zimowymi wieczorami, między uczących się kleryków rozdzielać, a obcemu zdawałoby się, że to nie jest zakład naukowy ale raczej dom rodzinny, gdzie wszystko tchnie swobodą, a rozkazy i obowiązki kojarzy jedna miłość. Trochę odstąpiłem od przedmiotu, lecz cóż na to poradzić, skoro to miejsce ma dla mnie urok, w którem sobie młodsze koleżeńskie lata przypominam.

Drzewka w tym ogrodzie przetrwały jak wspomniałem silne mrozy pomimo iż są to najszlachetniejsze gatunki i że ogród leży na znacznej wysokości (chociaż i promieniowanie ciepła z dołu odgrywa swoją rolę), a chociaż jest ze wszystkich stron osłoniony, to jednak inna musi być przyczyna tej wytrzymałości drzew na mrozy, a prawdopodobnie ta, że tutaj ziemia pod drzewami owocowemi nie jest uprawiana żadnemi butwiejącemi rzeczami, takich tu nawet i nie ma. Drzewa zatem nie ciągną kwasu węglowego jak tylko z powietrza, nie zaś jeszcze z ziemi, dla tego tkanki drzew nie mogą się zbytnio rozszerzać, ani sokiem wodnistym napełniać, mając poddostatkiem soków mineralnych, w które nie tylko ogród Seminaryalny, ale całe to Podgórze obfituje, jak wapno, którego wyżej w górze i kopalnie się znajdują, a że potażu jest podostatkiem, samo przez się, się rozumie, gdyż bez niego, drzewa róść by nie mogły, sodę zaś zdradza smak wody Przemyskiej, albowiem obcy i jeszcze kto soli nie lubi, pozna w niej zawartość soli kuchennej, chociaż nadzwyczaj małą. Są zatem tutaj trzy warunki: wapno, potaż i soda, bez których drzewa owocowe ani by się tak dobrze udawać, a tem mniej rodzić mogły, chociaż ziemi pod niemi nikt nieoprawia.

W tym ogrodzie, drzewa są już zaaklimatyzowane, ztąd i mniejsza obawa, by gatunki ztąd brane, za lada mrozem wyginęły. Chociaż zaś wysełka ztąd zrazów na wielką skalę miejsca mieć nie może, gdyż na to, czas nie pozwala, a hodowanie szlachetnych gatunków jest rzeczą, w obec wyżej przytoczonych warunków, więcej podrzędną, to jednak pomimo tych przeszkód już kilka tysięcy drzewek i zrazów ztąd się po kraju rozeszło. Mówiąc już o tym ogrodzie, nadmieniam nawiasem i to jeszcze, że jako kleryk a nadto ogrodnik, kazałem posługaczom kopać jamę na śmiecie w stronę, ku górze zamkowej za teraźniejszą szopą. Gdyśmy już na dobry łokieć ziemi wykopali, natrafiliśmy na mur bardzo mocny, pod którym była jakaś próżnia, gdyż za każdem uderzeniem rydla, rozlegało się echo, gdzieś w środku ziemi, co mię naprowadzało na myśl, czyliby z tąd nieodszukał jakiego chodnika do zamku; na to przyszli klerycy i chcieli ten mur rozwalać, by się przekonać, czyli to jaki grób lub chodnik, lecz do tej naszej operacyi przyszedł i Przewielebny ksiądz Skwierczyński i nam dalszej roboty zabronił, byśmy jakich zabijających gazów lub gazu węglowego nie dobyli, więc tak to pozostało do dnia dzisiejszego, i nikt nie wie coby to być mogło.

Zboczywszy kilka razy z drogi wracam ostatecznie jeszcze raz do pobielania drzew owocowych roztworem wapiennym. Z tego, cośmy tutaj na podstawie chemicznych rozbiorów przez Richardsona, Souchaya, Engelmanna, Erdmanna dokonanych, wykazali, wypadałoby, że szkoda czasu i zachodu na taką bezcelową pracę, a zamiast długiemi i krętemi drogami, jak np. zapomocą smarowania, dokonywać zasilania drzew wapnem przez domieszanie go do ziemi.

Ks. Fr. Żaba.

NADESŁANE.

Interesownem jest umieszczone w dzisiejszym numerze naszego pisma oznajmienie przez Samuela Heckschera senj. w Hamburgu. Dom ten zjednał sobie przez prędką i bez rozgłosu uczynioną wypłatę, tak w mieście jak i w okolicy dobre imię, dla tego możemy dom ten każdemu zalecić.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Stanisław Kossecki. — Z drukarni gr. kat. kapituły w Przemyślu.